

# OPOWIEŚCI Z PACYNKOWA

## *Opowieść XI*

### **Brzydka ręka**

*Monika Staniszevska*

#### CZEŚĆ I

Wszystko zaczęło się od tego, że w autokarze nie było Michała. Zaniepokoiłem się, ponieważ to zwykle Michał mieszka ze mną w pokoju, gdy jesteśmy na obozie sportowym. Bardzo lubię Michała.

– Może jest już na miejscu? – myślałem z nadzieją. – Może pojechał ze starszą grupą, która wyjechała wczoraj?

Kiedy dojechaliśmy do ośrodka sportowego, trener rozdał wszystkim klucze do pokoi, jednak mnie nie dał żadnego. Powiedział tylko:

– Klucz do pokoju, w którym zwykle mieszkasz, wziął już twój współlokator.

Nie miałem wątpliwości, że tym lokatorem jest właśnie Michał. Czym prędzej pognałem do pokoju.

– Cześć, Michał! – krzyknąłem radośnie na widok odwróconego tyłem chłopca. Właśnie wkładał ubrania na górną półkę szafy. Pomyślałem, że nie usłyszał mojego powitania.

– Cześć, Mi... – chciałem powtórzyć, ale urwałem, bo chłopiec stojący przy szafie odwrócił się gwałtownie i stało się jasne, że to wcale nie Michał.

– Cześć... – powiedział nieznajomy i spojrzał na mnie poważnie. Pomyślałem nawet, że trochę zbyt poważnie. Jego twarz wydawała się całkiem pozbawiona uśmiechu.

– A gdzie Michał? – zapytałem, rozglądając się po pokoju.

– Nie wiem, chyba nie mógł przyjechać... – odparł nieznajomy chłopiec. – Trener powiedział, że mam mieszkać w tym pokoju – dodał.

Wyglądał na zagubionego.

– Może jest pierwszy raz na takim obozie? – pomyślałem i postanowiłem dodać mu otuchy.

– W porządku, na pewno się dogadamy... – odparłem i spróbowałem się uśmiechnąć.

Chłopiec nieśmiało odwzajemnił uśmiech. Wyciągnąłem do niego rękę.

– Jestem Tomek.

– A ja Artur – powiedział i powoli podał mi dłoń. Z przerażeniem zauważyłem, że skóra na jego prawej ręce jest dziwnie pomarszczona i mocno czerwona, a cała ręka jakby sztywna. Poczulem obrzydzenie. Odruchowo wyrwałem moją dłoń z jego uścisku i wytarłem w bluzę. Spojrzał na mnie speszony i natychmiast schował ręce do kieszeni. Przez moment

dostrzegłem na jego twarzy zawstydzenie, które jednak szybko ustąpiło obojętności. Między nami wyrósł niewidzialny mur. Artur odwrócił się, wyjął z plecaka jakąś grubą książkę i szybkim krokiem podszedł do drzwi. Jednak zanim opuścił pokój, powiedział jeszcze, nie patrząc na mnie:

– Nie bój się, to nie jest zaraźliwe – i wyszedł.

A ja wciąż stałem na środku pokoju z głupią miną. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Czułem wstyd. Głupio to wyszło. Nie powinienem był tak wrywać ręki. Ale rzeczywiście się przestraszyłem. Nie chciałem zarazić się jakąś paskudną chorobą. Ciekawe, dlaczego dłoń Artura jest taka pomarszczona i czerwona? Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Kiedy zszedłem do stołówki na obiad, wszyscy już wiedzieli o „brzydkiej ręce” Artura. Tak właśnie się o tym mówiło – „brzydka ręka”. Chyba przy każdym stoliku chichotano i szeptano na ten temat. Rozejrzałem się po sali. Artur siedział sam. Czy powinienem usiąść obok niego? Zawahałem się. W mojej głowie kłębiły się różne myśli. Było mi żal Artura. To musi być bardzo nieprzyjemne, tak siedzieć samemu i czuć na sobie nieprzyjazny wzrok wszystkich kolegów. Przydałby mu się przyjaciel. Ale jeśli obok niego usiądę, co pomyślą inni? No i ta ręka... rzeczywiście jest „brzydka”... Czułem, że wcale nie chcę siedzieć z Arturem przy jednym stoliku. Z opresji wybawił mnie głos Wojtka.

– Cześć, Tomcio! – zawołał. – Siadaj z nami, mistrzu podkręcanych piłek! – roześmiał się i poklepał miejsce obok siebie. Przy stoliku Wojtka siedział już Marcin, Kuba i bliźniacy – Dawid i Damian. Nie mogłem zignorować takiego zaproszenia. Wojtek był dużym, silnym chłopcem. Dobrze grał w piłkę i biegał najszybciej z całej drużyny. Lubił rządzić i zawsze musiał postawić na swoim.

Wszyscy liczyli się z jego zdaniem. Ja też. Chyba trochę się go bałem.

– Chętnie – powiedziałem i usiadłem na wskazanym przez Wojtka miejscu.

– Słyszałeś już o tym nowym? – zapytał Damian i skrzywił się. – Ma jakąś dziwną rękę. Lepiej trzymać się od niego z daleka.

– Trener umieścił go w moim pokoju – westchnąłem – więc chyba nie mam wyjścia, muszę się z nim zadawać. Zresztą żal mi go trochę... – powiedziałem.

Wojtek spojrzał na mnie groźnie:

– I może chciałbyś jeszcze zaprosić go do naszego stolika, co? – zaśmiał się. – Nie ma mowy! Nie będziemy się z nim zadawać! Jeszcze byśmy się czymś zarazili! – prychnął z pogardą.

Nikt nie śmiał zaprotestować.

Po obiedzie umówiliśmy się na boisku. Mieliśmy czas wolny do kolacji i postanowiliśmy wypełnić go tym, co lubimy najbardziej – kopaniem piłki. Bawiliśmy się w najlepsze, gdy nagle Kuba krzyknął:

– Patrzcie, idzie „brzydka ręka”!

Rzeczywiście, zbliżał się ku nam Artur, z nieodłączną książką pod pachą.

– Może zaprosimy go do naszej zabawy? Jestem ciekaw, czy dobrze gra w nogę – powiedział niespodziewanie Łukasz, którego nie było przy naszej obiadowej rozmowie. Wojtek zmarszczył brwi:

– On do nas nie pasuje! – warknął. – Jest inny. To jakiś dziwoląg z brzydką ręką, nie bawimy się z nim!

– Ale dlaczego? – próbował protestować Łukasz. – Mnie się wydaje, że ta ręka... – zaczął, ale nie dokończył, bo Wojtek podszedł do niego na niepokojąco bliską odległość i powiedział głośno, tak, żeby wszyscy słyszeli:

– Jeśli ty będziesz bawił się z nim, to my nie będziemy bawili się z tobą! Zrozumiano? – i nie czekając na odpowiedź, zarządził:

– Gramy dalej!

Zaczęliśmy znów kopać piłkę. Artur przyglądał się nam przez chwilę, a potem wycofał się pod drzewo, usiadł i zaczął przeglądać swoją grubą książkę.

Następny dzień wyglądał podobnie. Artur zarówno w stołówce, jak i podczas czasu wolnego – był sam. Jego jedyne towarzystwo stanowiła wciąż ta sama gruba księga. Ciekawiło mnie to ogromnie. Chwilami miałem nawet ochotę porozmawiać z nim. Zapytać, co mu się stało w rękę i co to za książka, ale nie potrafiłem tego zrobić. Po pierwsze: nie byłem pewny, czy w ogóle tego chcę, a po drugie: nie miałem ochoty narażać się na kpiny i krytykę Wojtka.

Drugiego dnia wieczorem, kiedy leżeliśmy już w łóżkach (ja odwrócony do ściany udawałem, że śpię, a Artur przeglądał swoją książkę), zadzwonił telefon Artura. Miałem nadzieję, że wyjdzie z pokoju, bo nie chciałem podsłuchiwać jego rozmów, ale on został. Sądził widocznie, że naprawdę śpię. Mówił cicho, żeby mnie nie obudzić, ale ja i tak wszystko słyszałem. Domyśliłem się, że to dzwoni mama Artura. Odpowiadał jej krótko i bez emocji.

– Tak, dobrze się czuję.

– (...)

– Nie, nie boli mnie ręka.

– (...)

– Jest tak, jak zwykle.

– (...)

– Z nikim się nie zaprzyjaźniłem. Wszyscy mnie unikają. Ale nie martw się mamo, nie przeszkadza mi to, już się przyzwyczailem. Wszystko jest w porządku. Pa!

Artur odłożył telefon. Schował książkę pod poduszkę i zgasił lampkę nocną przy swoim łóżku. Przez chwilę wydawało mi się, że płacze. Wstrzymałem oddech, żeby niczym nie zakłócać ciszy, ale nic już nie było słychać. Czulem, jak wzbiera we mnie współczucie pomieszane ze wstydem. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Artur miał chorą rękę i był tu bardzo samotny, a ja ani razu nie spróbowałem mu pomóc. A najgorsze było to, że teraz nadal nie potrafiłem zdobyć się na żadną reakcję. Mogłem przecież wstać, podejść do niego, odezwać się, ale nie zrobiłem tego. Leżałem bez ruchu, udając, że śpię. Nie umiałem pokonać tego muru, który wyrósł między nami już pierwszego dnia i wciąż się powiększał.

## CZEŚĆ II

Trzeci dzień naszego obozu sportowego miał być wyjątkowy. Trener Adam obiecał nam niespodziankę. Okazało się, że odwiedzi nas wielki sportowiec, który ma na swoim koncie wiele medali. Dopytywaliśmy, kto to taki, ale trener milczał uparcie. Przed kolacją zgromadziliśmy się w sali gimnastycznej, z wypiekami na twarzy oczekując przybycia niecodziennego gościa. Wyobrażaliśmy sobie, jak na parkiet wbiega Pacjano Ronaldo albo sławna pływaczka Pacylia. Jakież więc było nasze zdziwienie, gdy – zamiast sławnego sportowca – do sali wjechał... wózek inwalidzki. Siedział na nim brodaty, barczysty mężczyzna i uśmiechał się do nas przyjaźnie. Nikt z nas go nie znał. Wojtek trącił mnie łokciem i powiedział, trochę zbyt głośno:

– To ma być mistrz? A jak on kopie piłkę?

– No i z bieganiem chyba też ma problem... – nieszczerze zmartwił się Dawid.

– Kto to powiedział? – krzyknął zawstydzony i oburzony naszym zachowaniem trener Adam i najwyraźniej miał zamiar natychmiast zganić nieproszone komentatorów, jednak brodacz na wózku powstrzymał go gestem ręki.

– Widzę, że czujecie się rozczarowani widokiem gościa na wózku – roześmiał się swobodnie, jakby wcale go to nie uraziło. – Rozumiem, spodziewaliście się znanego sportowca.

– No właśnie, takiego z medalami! – zawołał z pretensją Wojtek.

– To akurat nie problem – odparł nasz gość i z torby zawieszanej na oparciu wózka wyjął zgrabną walizeczkę. Otworzył ją i podał trenerowi Adamowi, żeby ten pokazał nam z bliska jej zawartość. Naszym oczom ukazał się imponujący zbiór medali. Było ich ze czterdzieści, a przeważały te złote.

– To się nazywa kolekcja! – wykrzyknąłem z podziwem. Inni chłopcy też byli pod wrażeniem. Tylko Wojtek przyglądał się medalom z niedowierzaniem.

– I to wszystko pana? – zapytał niezbyt grzecznym tonem.

– Nie, część z tych medali to sukces całej drużyny koszykarskiej, której jestem kapitanem, ale kilka jest tylko moich – wyjaśnił brodacz spokojnie, nie zrażony zaczepnym tonem Wojtka. – Na przykład ten złoty, sprzed roku, otrzymałem jako król rzutów do kosza. Około stu razy atakowałem kosz przeciwnika podczas wszystkich rozgrywek zeszłorocznej paraolimpiady i ani razu nie spudłowałem – roześmiał się.

– Wow!... – po sali przeszedł szmer podziwu.

– Ale strzelać do bramki to by pan nie umiał – stwierdził Wojtek pogardliwie.

– Wojtek! – krzyknął ostrzegawczo trener Adam, ale nasz gość uspokajającym gestem znów dał mu do zrozumienia, że wszystko w porządku.

– Masz rację – przyznał. – Nie strzeliłbym ani jednego gola. Podczas meczu piłki nożnej nie byłoby ze mnie żadnego pożytku. Natomiast ty, Wojtku, wyglądasz mi na dobrego zawodnika.

Wojtek aż pokraśniał z zadowolenia. Dumnie wyprężył pierś i rozejrzał się, żeby sprawdzić, jakie wrażenie zrobiła na nas pochwała niepełnosprawnego sportowca. Jednak my nie patrzyliśmy na Wojtka, nie mogliśmy oderwać wzroku od naszego wyjątkowego gościa.

– Rzeczywiście, nie byłbym dobrym piłkarzem – uśmiechnął się. – Dlatego trenuję koszykówkę. Jestem koszykarzem, kapitanem drużyny paraolimpijskiej, czyli takiej, której członkami są niepełnosprawni sportowcy. Trenuję od sześciu lat. Nazywam się Barnaba, koledzy mówią na mnie „Berni”.

– E tam, dla mnie sport na wózku to żaden sport. Nie wierzę w te rzuty bez pudła. Nawet ja byłbym od pana lepszy na boisku, chociaż jestem jeszcze dzieckiem – odezwał się znów Wojtek.

Trener Adam poczerwieniał z gniewu:

– Wojtek, przestań natychmiast, bo każę ci opuścić salę! – krzyknął.

– W porządku, panie Adamie, rozumiem wątpliwości chłopca. Chętnie je rozwieję. Wojtku – zwrócił się do naszego kolegi – w biegach nie miałbym z tobą szans. Moje nogi są sparaliżowane i zawsze takie będą. Nie próbuję wmawiać ci, że jest inaczej. Dlatego nie staję do zawodów tanecznych, nie startuję w maratonach, nie jeżdżę na nartach, nie mierzę się w biegach ze zdrowymi ludźmi. Znam swoje możliwości – zdaję sobie sprawę z własnych słabości, ale wiem też, w czym jestem dobry. Dlatego mam dla was propozycję! Urządzimy sobie zawody koszykarskie. Zapraszam na boisko! Zmierzę się z każdym chętnym. Będziemy rzucać do kosza – każdy ma 10 rzutów.

Natychmiast ustawiła się kolejka chłopaków, którzy postanowili stanąć do pojedynku z „Bernim”. Ja też przyjąłem wyzwanie. Właściwie tylko Artur nie ruszył się z miejsca. Siedział ze swoją książką na kolanach. Pan Barnaba spojrzął na niego uważnie. Jestem pewien, że zauważył pomarszczoną skórę na jego dłoni. Miałem nawet wrażenie, że chce zapytać Artura o tę rękę. Ale nie zrobił tego. Tymczasem rozpoczął się pojedynek na kosze. Trener Adam ogłaszał wynik kolejnych starć. Brzmiało to mniej więcej tak:

Wojtek 7 na 10, pan Barnaba 10 na 10

Łukasz 5 na 10, pan Barnaba 10 na 10

Damian 7 na 10, pan Barnaba 10 na 10

Tomek (czyli ja!) 6 na 10, pan Barnaba 10 na 10

Dawid 9 na 10, pan Barnaba 10 na 10

Marcin 4 na 10, pan Barnaba 10 na 10

I tak dalej...

Do pojedynku z panem Barnabą stanęli niemal wszyscy i za każdym razem wynik paraolimpijczyka był taki sam: 10 na 10!

– Pan jest niesamowity! Idealny! – wykrzyknął Łukasz. – Pan chyba jest robotem!

Koszykarz roześmiał się serdecznie.

– Przyznaję, jestem w tym dobry. Ale nie jestem idealny. Umiem grać w kosza. Lubię też gotować i chętnie gram na gitarze. Za to w piłkarskich strzałach na bramkę albo w konkursie tanecznym przegrałbym z kretešem. Każdy ma jakieś słabości i każdy ma swoje mocne strony – rzeczy, które lubi i umie robić naprawdę dobrze.

– Ja to mam mnóstwo takich mocnych stron! – wypalił Wojtek. – Co nie, chłopaki? Szybko biegam, celnie strzelam, jestem dobry i w obronie, i w ataku, a do tego świetnie jeżdżę na rowerze!

– I „śpiewam lepiej niż w operze...” – szepnął mi do ucha Łukasz. Zachichotałem. Też przypomniał mi się wiersz o samochwale Brzechwy. Jednak pan Barnaba nie zganiał Wojtka za przechwałki.

– W takim razie na pewno chętnie wystąpisz podczas dzisiejszego „Wieczoru prezentacji” – powiedział. Spojrzeliśmy na niego zdziwieni.

– A co to takiego ten „Wieczór prezentacji”? – zapytałem.

– Zapraszamy was po kolacji na spotkanie w sali kominkowej – pospieszył z wyjaśnieniami nasz trener. – Każdy chętny będzie mógł zaprezentować siebie – opowiedzieć o swoich pasjach i mocnych stronach!

– E, dla mnie to bułka z masłem – powiedział lekceważąco Wojtek.

– Tak, ale jest jeden warunek – wtrącił pan Barnaba. – Trzeba też opowiedzieć o swoich słabościach, o tym, czego się nie umie. Żeby to, co o sobie powiemy, było pełne i prawdziwe.

Po tych słowach Wojtkowi zrzędła mina. Inni też zdawali się zaniepokojeni koniecznością mówienia o swoich słabościach. Zaczęliśmy się rozchodzić do swoich pokoi. Nim wyszedłem, zobaczyłem, że nasz gość podjeżdża na swoim wózku do Artura i pyta go o tę grubą książkę. Usłyszałem, że Artur zgodził się opowiedzieć o niej podczas wieczoru prezentacji. Tylko, co takiego ciekawego może być w zwykłej książce? Ja też lubię czytać, ale żeby zaraz o tym opowiadać?

Po kolacji zebraliśmy się w sali kominkowej. Kiedy dotarłem na miejsce, Artur już tam był. Oczywiście ze swoją grubą księgą. Rozmawiał z panem Barnabą, któremu najwidoczniej nie przeszkadzała brzydka ręka Artura. Z zainteresowaniem słuchał jego wypowiedzi. Patrząc na nich, zastanawiałem się, jak to możliwe, że ten małomówny chłopiec bez uśmiechu potrafi opowiadać z taką swobodą? Nagle ma tyle do powiedzenia i nawet potrafi się uśmiechać. Moje rozmyślenia przerwał mocny głos trenera Adama:

– Widzę, że są już wszyscy. Możemy zaczynać. Kto chciałby rozpocząć?

Nikt się nie zgłosił. W sali słychać było szmer rozmów i chichotów, ale nikt nie miał odwagi mówić o swoich słabościach.

– A może ty, Wojtku? – zagadnął pan Barnaba.

– E..., ja to raczej dziś nie wystąpię... – odezwał się Wojtek nieswoim głosem. Zwykle głośny i przebojowy, teraz wydawał się jakby nieśmiały.

– Nie jest łatwo przyznać się do swoich słabości... – zadumał się pan Barnaba.

– Chyba tak... – szepnął Wojtek.

Pan Barnaba wziął do ręki gitarę, którą przyniósł ze sobą, i zaczął grać. Była to jedna z naszych obozowych piosenek. Zaśpiewaliśmy ją wspólnie, a potem trener jeszcze raz zapytał:

– Kto chciałby opowiedzieć o swoich mocnych i słabych stronach?

Nadal nie było chętnych. Szeptano po kątach, ale nikt się nie zgłaszał. Ja też nie miałem odwagi. Niespodziewanie odezwał się Artur.

– Ja mogę zacząć – powiedział głośno i wyraźnie. – Ja mam sporo słabości. Codziennie się z nimi zmagam, odkąd moja prawa ręka została poparzona i straciła część dawnej sprawności. To się stało podczas pożaru mojego domu.

W sali zaległa zupełna cisza. Ustały szept i chichoty.

– Przeżyłeś pożar? Jak to było? – zapytał cicho Łukasz.

– Strasznie... – Artur westchnął i zamyślił się na chwilę. – Właściwie wołałbym tego nie pamiętać, ale trudno zapomnieć... Pożar wybuchł w pokoju mojej siostry. Chyba z powodu zapalanej świecy. Tego dnia nie było prądu i wieczorem zapaliliśmy świece. Kiedy mama zauważyła płomienie, było już za późno. Ogień był już wszędzie. Śmiertelnie się bałem. Oboje z siostrą płakaliśmy, tuląc się do mamy, która nie wiedziała, co robić. Dusiliśmy się od dymu i gorąca. Nie da się tego opisać, wszystko działo się tak szybko. Drzwi stanęły w płomieniach. Nie wiedzieliśmy, któredy uciekać. Mama pociągnęła nas do sypialni, tam jest balkon i schodki. To była nasza szansa. Nagle usłyszałem szczekanie Reksa, mojego psa. Był zamknięty w kuchni. Wystarczyło tylko nacisnąć klamkę. Zrobiłem to. I zemdlałem z bólu. Klamka przecież płonęła, więc moja prawa ręka też... Dalej niewiele pamiętam. Reks przeżył. Moja mama i siostra także. Mieliśmy wiele szczęścia. Jednak moja ręka... lekarze chcieli ją amputować, ale udało się tego uniknąć. Teraz jest już całkiem nieźle. Chociaż idealnie nie będzie nigdy... No tak, ale miałem mówić o swoich słabościach i mocnych stronach – uśmiechnął się. – Moja ręka jest niesprawna, więc nie mogę robić niczego, co wymaga dużego wysiłku i sprawności. Nie byłbym dobrym bramkarzem ani koszykarzem. Wolno się ubieram, nie najlepiej robię kanapki i bardzo niewyraźnie piszę. Uczę się pisać lewą ręką, ale to trudne. Za to dobrze czytam.

– Dlatego zawsze nosisz ze sobą tę książkę? – zapytałem, wskazując księgę na jego kolanach. Roześmiał się pogodnie.

– Nie, to nie dlatego. Stale ją noszę, bo jest dla mnie bardzo cenna. Ta księga to klaser, album na znaczki pocztowe. To jedyne, co ocalało z pożaru. Miałem kilka takich klaserów, dostałem je od dziadka, to była jego ukochana kolekcja, zbierał znaczki przez wiele lat. Niestety, wszystkie spłonęły. Został tylko ten jeden klaser. Ocalał, ponieważ poprzedniego dnia zapomniałem zabrać go z samochodu.

– Nie wiedziałem, że można zbierać znaczki – powiedział Marcin.

– Można! – gorąco zapewnił Artur. – Ktoś, kto zbiera znaczki, to filatelista. Takich filatelistów jest bardzo wielu, ja należę do Młodzieżowego Klubu Filatelistów. Mam kilka takich znaczków, o których marzy wielu zbieraczy.

– Pokażesz nam? – poprosiłem. I zaraz dołączyło do mnie więcej głosów. Naraz wszyscy chcieli oglądać kolekcję Artura. Nawet Wojtek. I Artur pokazywał nam kolejne strony klasera, wypełnione barwnymi seriami. Mnie najbardziej zaciękały te poświęcone olimpiadom sportowym i podróżom kosmicznym. W kolekcji Artura było też kilka bardzo starych znaczków. Wyglądały na mocno zniszczone. Jeden miał nawet wyraźną kancerę, czyli uszkodzenie ząbków w rogu. I właśnie ten był szczególnie cenny, ponieważ – jak powiedział Artur – takie znaczki jak ten są tylko trzy na całym świecie! Aż trudno sobie wyobrazić, że jeden z nich ma właśnie nasz Artur. Podobno ten znaczek chciał od niego odkupić jakiś

bogaty kolekcjoner zza granicy, ale Artur się nie zgodził. Bo ten znaczek, choć z tą kancera, jest najcenniejszy w jego kolekcji – jest wyjątkowy.

Kiedy Artur skończył opowiadać, pan Barnaba pochwalił go za odwagę. Nie każdy potrafiłby opowiedzieć o swoim strachu, bólu i o swoich słabościach. Nawet Wojtek patrzył na Artura z podziwem. A ja czułem się prawdziwym wybrańcem, mogąc mieszkać w pokoju z takim wyjątkowym chłopcem. Chłopcem, który przeżył tyle trudnych chwil, i mimo chorej ręki, nie poddał się – uczy się pisać, trenuje piłkę, jeździ na obozy i ma wyjątkową kolekcję znaczków!

Tego wieczora ja i Artur rozmawialiśmy jeszcze długo po zgaszeniu światła. Nadrabialiśmy stracony czas. A na drugi dzień... było już całkiem zwyczajnie, to znaczy tak, jak powinno być od początku. Nikt już nie siedział sam w stołówce i nikt nie musiał siedzieć samotnie pod drzewem, gdy inni wesoło się bawili, chyba że akurat miał ochotę obejrzeć z nowym przyjacielem kolekcję wyjątkowych znaczków.

Aha, i jeszcze jedno – zniknęła „brzydka ręka”, chociaż pozostała przecież taka sama.